

Mleczna mgła spowijała basztę; światło brzasku sączyło się przez małe okienko przysłonięte grubą alabastrową płytą.

Mężczyzna, którego zwano magiem, niekiedy czarnoksiężnikiem czy znachorem, a który w rzeczywistości nie był żadnym z nich, sprawdził zawartość swojej torby, po czym rozejrzał się dokoła. Obrzucił wzrokiem wszystkie piękne przedmioty, które zdołał zgromadzić przez lata: krzesło z orzechowca, obite skórą i nabijane srebrnymi ćwiekami, tak wysłużone, że zdawało się, iż odcisnął w nim zarys swej postaci, drewniany kufer zdobiony miniaturowymi wizerunkami fantastycznych zwierząt, szklane flakoniki z pachnidłami i leczniczymi miksturami, traktat o geometrii, ocalony z pożaru w Santa Maria...

Jego wzrok napotkał nieruchome spojrzenie wypchanej sowy, zabalsamowanej wedle starej egipskiej receptury. Na jej piórach osiadł kurz, który gromadził się tam przez wszystkie lata, które upłynęły od czasu, gdy ktoś pozwolił sobie na ten ekstrawagancki eksperyment. Wydawało się, że ptak obserwuje w nieustannym zdumieniu kozuch podróżny, który właśnie przed nim położono.

- Bernardo! - wołanie dobiegło z góry kręconych schodków. - Jesteś gotowy?

Po raz ostatni spojrzął na pokój, który przez prawie dwadzieścia lat był jego domem i wzдрыgnął się. Ogarnęło go przeczucie, że jeśli teraz porzuci to miejsce, już nigdy więcej nie wróci do zamku w Almacei.

Na szczycie schodów pojawił się Nuno.

- Już idę - powiedział Bernardo.

Chwycił sakwę, narzucił kozuch i wyszedł, nie oglądając się więcej za siebie.

Nuno jechał na silnej, wyjątkowo dużej mulicy, Bernardo na siwku o grubych pęcinach. Trawę i kamienie pokrywała jeszcze poranna rosa. Przyjemny chłodek poprawił im humory i natchnął energią niezbędną do podjęcia długiej drogi, jaka ich czekała. Spokojnym truchtem wjechali na ostatnie wzgórze, z którego można jeszcze było ogarnąć wzrokiem osadę i zamek. Bernardo ściągnął cugle i spojrzął za siebie.

Gdy zobaczył fortecę, jej blanki i pociemniałe mury, znów po plecach przeszły mu ciarki. Nie potrafił uwolnić się od ponurych przeczuc. Odszukał w swoich rzeczach medalion z wygrawerowaną spiralą, przesunął po niej palcami, a jej znajomy dotyk podniósł go nieco na duchu..

- Mam przeczucie, że nigdy więcej tu nie wrócę.

Jego towarzysz zawrócił muła i zatrzymał się obok.

- I ty to mówisz, Bernardo? Przeczucie! Do czego to doszło! Człowiek, który potrafi wszystko wyjaśnić w sposób rozumny, opowiada mi teraz o przeczuciach! Żebyś mi tu nie zaczął wierzyć w czary, więdźmy i wróźki...

- Może jeszcze w jednorożce? - zakpił Bernardo, patrząc mu wyzywająco w oczy. Nuno nagle spowaźniał.

- Niech Bóg ma nas w opiece! - przeżegnał się. - W jednorożce akurat wierzę, bo widziałem... to, co widziałem! - przerwał, by rozejrzeć się na boki, jak gdyby w pobliżu mogły czaić się niepożądane uszy i zniżył głos do szeptu. - Nie przypominało to jednak tego pięknego, szlachetnego zwierzęcia, o którym mówią legendy. Wyglądał raczej jak muł o ciemnej sierści, długiej i brudnej, na czole miał róg, taki jak krowa czy wół... A do tego cuchnął! Ale to b y ł jednorożec! Miałem go na wyciągnięcie ręki!...

Bernardo podjechał bliżej.

- Zbadamy to - mówił wolno i spokojnie, głosem, jakiego zwykle używa się wobec dzieci i szaleńców.

Nuno mruknął coś pod nosem. Zaledwie przed trzema dniami odnalazł swojego starego towarzysza z zakonu Świętej Cekliny. Opowiedział mu, że w pewnej osadzie na północy natknął się na jednorożca, stworzenie mityczne i, jak dotychczas sądzono, nieistniejące. Zdołał go przekonać, by na kilka tygodni opuścił zamek i dotrzymał mu towarzystwa w poszukiwaniach.

Z początku Bernardo okazał więcej niż umiarkowane zainteresowanie przedsięwzięciem, jednak w końcu Nuno zdołał rozpałić jego ciekawość tak, że zagłuszyła logikę i rozsądek, i rozbudziła w nim pragnienie wyjaśnienia tego fenomenu, który nie miał prawa się zdarzyć.

Ruszyli zatem i wkrótce Almacea oraz znajdujący się w niej zamek zniknęły za linią horyzontu.

- Wiesz, co myślę, Nuno? - zapytał Bernardo, po czym ciągnął dalej, nie czekając na odpowiedź towarzysza podróży. - Myślę, że mój dziwny niepokój bierze się stąd, że już zbyt długo nie opuszczałem Almacei. Ile to już lat? Dziesięć?

- Więcej! Dwanaście! Dwanaście lat, bracie! Wróciliśmy do Świętej Cekliny z okazji Zgromadzenia Głównego, pamiętasz? Wybrano wówczas na przeora Zakonu Dimasa. To już dwanaście lat, od kiedy umarł Lucas, nasz poprzedni mistrz...

- Kto by to pomyślał! Dwanaście lat! Zrobiłem się za stary na takie historie. Parę godzin jazdy i jutro nie będę się mógł ruszyć. Będzie mi łupało w krzyżach, że szkoda gadać....

- Będziesz miał pośladki w siniakach, odparzone jak u noworodka! Ale póki twoja ręka będzie pewna jak dawniej... Zawsze wierzyłem w twój miecz... Bo chyba wzięłeś miecz, co?

- Nie mam już miecza - odparł dobitnie. - Nie jestem już rycerzem.

Nuno obrzucił wzrokiem wierchowca swojego przyjaciela, by upewnić się czy nie ma tam jakiegoś podłużnego pakunku.

- Oczywiście! - odetchnął z ulgą, gdy dostrzegł znajomy kształt. - Ani ty nie jesteś rycerzem, ani ja trubadurem.

I nie tracąc więcej słów, Nuno zaintonował starą balladę o monotonnym, nużącym rytmie, opiewającą pocieszne czyny rycerskie pewnej dzielnej muchy.

W tym samym czasie, o przeszło trzydzieści kilometrów na północ, w Cruceiro, jakiś kobiecy cień kulił się w ciemnościach szopy. Schwytali ją i zamknęli jeszcze rano. Mogła mieć najwyżej siedemnaście lat. Z wyczerpania padła na wiązkę siana. Kiedy dotarło do niej, że została sama, gdy wreszcie ucichły wrzaski i syknięcia „wiedźma”, „czarownica”, „znachorka”, które ją prześladowały, mogła w końcu odetchnąć i zapadła we właściwy sobie czujny i płytki sen.

Przyśniły jej się dziwne stwory, które skradały się ku niej. Znów poczuła to samo przerażenie, co w dniu, kiedy straciła Jana. Obudziła się jak zwykle po kilku ledwie godzinach z mocno walącym sercem i łzami ciekącymi po twarzy.

W wioskowym zajeździe panowały ciemność i brud, ale mieli przynajmniej dach nad głową i ciepłą strawę. Bernardo swoim dawnym zwyczajem usiadł na ławie, z której dobrze widział drzwi. Odsunął na bok talerz z resztkami bliżej nieokreślonej potrawy.

- Jesteś głodny? - Nuno siadł naprzeciw.

- Jestem tak zmęczony, że nie czuję głodu. Marzę, żeby się wreszcie położyć i zasnąć kamiennym snem... Mam nadzieję, że do jutra mięśnie trochę przestaną boleć; wzięłem arnikę, natrę się solidnie. - Pociągnął łyk wina.

- Bardzo rozcieńczone?

- Za bardzo.

Nuno spróbował.

- Przestań narzekać. Nie jest znów takie podłe. Przywykłeś się do wygodnego życia, Bernardo.

Bernardo obracał w rękach kubek z winem.

- Za parę dni wszystko ci będzie smakowało niczym rajski nektar.

- Nie wątpię.

Bernardo spojrzął na palenisko, na którym dogasał ogień. W powietrzu unosiła się stęchlizna. Karczma była prawie pusta. Tylko oni i jakiś miejscowy.

- Moglibyśmy pojechać na skróty przez Trillo, zaoszczędzilibyśmy pół dnia drogi.

- Chcesz zejść z królewskiego traktu?

- Tak.

- Nie ma mowy. Nie będziemy ryzykować bez potrzeby.

- Myślałem, że nam się spieszy.

- Czy ja wiem...

Bernardo chciał dotrzeć do Cruceiro jak najszybciej, jednak ani myślał narażać się na niebezpieczeństwo. Owszem, dręczyła go ciekawość, co też czeka ich na końcu podróży, cóż to za jednorozec, którego ponoć widział jego druh, ale równie mocno pragnął wrócić do swojego pana, Rafaela, do swojej baszty, swojego domu. Upłynęły całe lata, nim zdobył jego zaufanie, i coś, na co nie liczył w najśmielszych marzeniach: przestrzeń tylko dla siebie, przestrzeń, której nie musiał dzielić ze służącymi, psami ani dziećmi. Był więcej niż pogodzony z życiem i losem, dlatego nie chciał podejmować większego ryzyka.

Od kiedy wyruszył z Almacei, towarzyszył mu jednak dziwny niepokój, jakiś nieuchwytny lęk. A że Bernardo lubił wszystko analizować, doskonale zdawał sobie sprawę, że było to dla niego doznanie całkiem nowe. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek czuł coś takiego. Owszem, pamiętał, co to strach: głucho i pulsujące uczucie, którego doświadczał, stając naprzeciw wroga. Pamiętał czerwoną falę furii, która pojawiała się, kiedy walczył o życie, ściśnięte gardło i pustkę w żołądku, dręczące go przed walką. Ale ten lęk był inny. Bernardo stracił gdzieś dawną pewność siebie i wiarę we własne siły.

- Chyba się zestarzałem, Nuno. Boję się.

- Boisz się? Ty?... Bernardo, jeśli jest na tym świecie ktoś, kto nie zna strachu, to właśnie ty.

- To b y ł e m ja.

- To jesteś ty!

- Byłem, mój drogi.

- Bzdura! - Nuno cmoknął. - Teraz widzę, że najwyższa była już pora, żeby cię ktoś wyciągnął z tej twojej jaskini. Grzybiałeś tam i nawet nie miałeś o tym pojęcia. Ja zresztą też! Ech, słuchaj! Wypijmy za nas, za Zakon Świętej Cekliny, za dawne czasy i za to, co nam jeszcze los gotuje był typem. Dalej!

Bernardo pozwolił, by letni płyn spłynął mu do żołądka. Miłe ciepło rozeszło się po jego ciele niemal natychmiast.

- Jest coś, czego ci nie powiedziałem - odezwał się wreszcie Nuno, któremu wino dodało odwagi. - Wiesz... - Szukał odpowiednich słów, a może odwagi, nim podjął na nowo wątek. - Ten jednorozec... Rzecz w tym, że... Nikt oprócz mnie nie mógł go zobaczyć. Nie widzieli go! Ja stałem naprzeciw niego, oglądając to niezwykle zwierzę, słyszałem, jak piasek chrząścił mu pod kopytami, a nikt inny go nie dostrzegł!

Wydawało się, że brwi Bernarda same z siebie podskoczyły do góry.

- Nie patrz tak na mnie, Bernardo... - Nuno ściszył jeszcze bardziej głos. - I tak jeszcze nie powiedziałem ci najgorszego...

- A co może być gorszego niż to, że przejechałeś trzydzieści mil, żeby opowiedzieć mi o jednoroźcu, który nie istnieje i którego nikt oprócz ciebie nie może zobaczyć? - wycedził Bernardo. - Na Boga, Nuno! Co może być gorszego niż to, że namówiłeś mnie, bym z tobą szukał niewidzialnego stwora? - mówił coraz donośniej, aż głos jego zaczął przypominać pisk.

- Więc...- Nuno rozejrzał się wokół, jakby obawiał się wypowiedzieć na głos tyle nonsensów naraz. - Widziałem nie tylko jednoroźca. Było więcej zwierząt, małych i cudacznych, nieprzypominających niczego znanego. Widziałem je z daleka, i wcale nie miałem ochoty podchodzić bliżej. Tam było więcej potworów na wolności! Coś przerażającego dzieje się w Cruceiro.

Bernardo głęboko zaczerpnął powietrza, głównie po to, by zyskać na czasie, uzbroić się w cierpliwość i nie krzyknąć na przyjaciela, w którym zawsze, aż do tej chwili, pokładał pełne zaufanie.

- Uspokój się, Nuno - powiedział, choć sam potrzebował tego może bardziej niż jego rozmówca. - Zawsze posługiwaliśmy się rozumem. Podsumujmy... - Bernardo znów westchnął. - Twierdzisz, że na północy jest wioska, po której wędrują sobie jednoroźce i inne monstra...

- Myślę, że jednorożec jest tylko jeden, ale oprócz niego wiele innych małych dziwacznych zwierząt.

- Ach, tak. I mówisz, że tylko ty możesz zobaczyć jednoroźca...

- Inne też tylko ja, Bernardo, inne też. Jedyne ja widzę te diabelskie pomioty.

Zapadła głucha cisza.

- Piłeś coś wtedy? - odezwał się nieoczekiwanie Bernardo. - Kpisz sobie ze mnie? - znów mimowolnie jego głos przeszedł w krzyk.

- Przestań! - przerwał mu urażony Nuno. - Gdyby tak było, nie ciągnąłbym cię ze sobą. Zobaczyłem... to, co zobaczyłem i... - wydawało się, że wzdrygnął się przy tych słowach. - Na to, co dzieje się w Cruceiro, nie ma wytłumaczenia.

W głosie Nuna brzmiała szczerłość, w jego oczach zaś Bernardo dostrzegł panikę.

- Tak... Dlaczego miałbym ci wierzyć?

- Przez wzgląd na naszą wieloletnią przyjaźń. Uwierz mi, Bernardo, błagam. Pojedź ze mną, obejrzyj te bestie... Jesteś mądrzejszy ode mnie, masz większe doświadczenie, ty będziesz wiedział, co to takiego. Przez chwilę myślałem, że postradałem zmysły. Tam dzieje się coś złego! I nie mam pojęcia, co to może być!

Bernardo przyjrzał się przyjacielowi; widział, że cały drży, a jego szkliste spojrzenie wyraża przerażenie, ale nie obłąd.

- W klasztorze Świętej Cekliny, gdzie studiowaliśmy, nauczono nas nie wierzyć w magię ani w legendy, ani w żadne inne bajki. A to, co mi opowiadasz, jest... po prostu niemożliwe. I jeśli tu z tobą jestem, Nuno, w drodze do Cruceiro, to wyłącznie dlatego, że cię szanuję i wiem, że nigdy nie zmyśliłbyś czegoś podobnego.

Westchnienie ulgi wymknęło się z ust jego rozmówcy.

- Dziękuję, Bernardo. Jeśli ktoś może wyjaśnić, co się tam dzieje, to tylko ty... - głos Nuno zadrżał. - Przystudiowałeś tylu starożytnych mędrców, znasz się na roślinach i zwierzętach, zgłębiłeś tajemnice religii, zawsze umiałeś jak nikt czytać wielką księgę świata...

- Dość tych pochlebstw, Nuno! Wystarczy, żeś mnie wywłócił z Almacei... Przystałem wierność mojemu panu, a teraz go opuściłem. Rafael jest wściekły, że

wyjechałem właśnie wtedy, gdy jego żona ma rodzić. Dobrze chociaż, że nie wie, że wyruszyliśmy na poszukiwanie niewidzialnych potworów! - zakończył z nutą desperackiej ironii.

Drzwi zajazdu otworzyły się nagle. Kilku młodych mężczyzn wtargnęło hałaśliwie do środka. Gospodarz, słysząc ten rumor, wyszedł z kuchni.

Na widok nowo przybyłych zaniemówił. Gromada rozsiadła się hałaśliwie na kilku ławach naprzeciw niemal już wygasłego paleniska. Bernardo i Nuno, nie zwracając uwagi na ich wrzaski, zajęli się rosółem z kluskami i chlebem, które wcześniej ledwo tknęli. Makaron okazał się dużo lepszy, niż mogli się spodziewać po takiej gospodzie i niemal zapomnieli o obecności hałaśliwej bandy, aż nagle, kiedy już kończyli, gliniany dzban przeleciał nad ich głowami i roztrzaskał się o ścianę.

- Karczmaaaaarz! Wina zbrakło! - wrzasnął jeden z młodych.

- Wina! Wina! - poparli go inni.

Gospodarz pojawił się, niosąc dwa dzbany, ale nim zdążył podejść do stołu, postawny blondyn, ten sam, który wcześniej cisnął dzbanem i który zapewne był przywódcą gromady, wstał i zastąpił mu drogę.

- Nie, nie, Eduardo. Nie tego! - to rzekłszy, jednym ciosem wytrącił mu dzban z ręki.

Wino opryskało wszystko łącznie z jego pludrami. W gospodzie zapadła cisza.

- Przynieś nam to drugie, wiesz które... - Chłopak podszedł do Nuna i Bernarda. - To, które trzymasz dla paniczyków z miasta, takich jak ci - dokończył z pogardą. - A ty? Na co się gapisz? - wrzasnął wściekle na Nuna.

Nuno odwrócił wzrok. Bernardo obracał łyżkę w dłoniach, wpatrując się w nią w skupieniu. Gospodarz, wciąż jeszcze trzymając w ręku drugi dzban, podszedł z pojednawczym uśmiechem.

- Pedro, to spokojni podróżni. Nie róbcie dziś rozróby.

Blondyn odwrócił się do niego i bez słowa wytrącił mu dzban z ręki.

Woń rozlanego alkoholu niczym gęsta zasłona uniosła się w powietrzu i podrażniła nozdrza Bernarda, który ścisnął mocniej łyżkę.

- Powiedziałem, że chcę to drugie... to, które dałeś im - zażądał młokos.

- Sądzę... - wtrącił się Bernardo wstając, z mięśniami napiętymi w gotowości - że nasze wino to ten sam sikacz co wasze. - I nie dając mu czasu na odpowiedź, wziął swój dzban i podstawił mu pod nos. - Czujesz? Ten sam cienkusz! - zaśmiał się.

Pedro, poirytowany, odsunął dzban, wylewając przy tym część jego zawartości na koszulę Bernarda.

- Nie lubię paniczyków - wycedził, wbijając w niego spojrzenie.

Nuno dyskretnie zanurzył rękę pod połę płaszcza. Przygotowywał się na to, co musiało nastąpić. Bernardo westchnął. Zapadła pełna napięcia cisza.

Wtem Bernardo wybuchnął śmiechem. Był to śmiech ponury i nieco teatralny, wydobywający się z głębi trzewi.

- Ja też nie lubię paniczyków - powiedział, a w jego głosie pobrzmiwał jeszcze ów śmiech. - I nie myśl sobie, ciężko jest ich znosić, żeby zarobić na chleb.

Na wargi Pedro wypłynął ironiczny uśmieszek.

- Tchórz!

Bernardo pokiwał głową.

- Owszem, to prawda... Czasami - rzekł powoli najbardziej niewinnym tonem, na jaki go było stać.

Blondyn popatrzył na niego raz jeszcze, jakby licząc na coś więcej.

Gospodarz postawił na stole, przy którym siedzieli młodzienci, kilka nowych dzbanów. Odgłos stawianych naczyń rozładował napięcie wiszące w powietrzu. Pedro odwrócił się w stronę przyjaciół.

- Miejskie paniczyki! Tchórze! - rzucił. Następnie splunął pod nogi podróżnym i wrócił do swojego stołu.

Bernardo podszedł do przyjaciela, który siedział zgarbiony.

- Przysiągłbym, że napluje ci w twarz... Co byś wtedy zrobił? - zapytał Nuno szeptem.

- Nic. Pewnie bym się wytarł.

- Bernardo! Kiedyś rozniósłbyś go na strzępy i to niemal natychmiast.

Bernardo westchnął.

- Bardzo możliwe, mój przyjacielu. Żałosny chłopak. Ale popatrz tylko na niego. Żałosny chłopak! Co go czeka? Zapewne jeszcze kilka lat fanfaronady, potem spłodzi gromadkę dzieci, dalej będzie tyrał na polach swojego pana jak wół, zobaczy, jak wymiera jego potomstwo, będzie się upijał, kiedy tylko będzie miał parę groszy przy duszy, wreszcie zrujnuje sobie zdrowie i skona, jeśli szczęście mu dopisze, to już za kilka lat. Niech się nacieszy swoimi mizernymi zwycięstwami i młodością.

Nuno wpatrywał się w przyjaciela, a oczy zaokrągliły mu się jak spodki.

- Nie pozwoliłbym, aby mi ubliżał prosty wieśniak.

- Oj, oj, kochany Nuno! - Teraz Bernardo już otwarcie się uśmiechnął. - Powinniśmy powściągać nasze emocje. Mogą mnie nazywać tchórzem czy głupcem... Ja wiem, że nie jestem żadnym z nich i nie muszę tego udowadniać takiemu nieszczęśnikowi jak ten młokos. Po prostu nie warto!

- Nie poznaję cię, Bernardo.

- Może się postarzałem... - dodał kpiąco mrużąc oko - albo może rzeczywiście stałem się tchórzem.

I jednym łykiem Bernardo opróżnił swój kubek.

Dziewczyna znów zasnęła. Świtało i promienie słońca przedzierały się przez szpary w drzwiach. Ktoś na pewno ją odwiedził, bo znalazła kawałek chleba i miskę zupy, która na szczęście jeszcze parowała.

Obudziła się z zeszywniałymi mięśniami. Wilgoć szopy przeniknęła ją do szpiku kości. Przeciągnęła się i pochyliła się nad miską z rosołem. Pachniał ładnie. Podniosła naczynie do ust i zaczęła smakować płyn. Rozpoznała w nim znajome przyprawy. Uśmiechnęła się lekko. To od Marii. To na pewno ona ugotowała tę zupę. Maria nie zapomniła o niej, miała przecież wobec niej dług wdzięczności. Zupa z karczochów była tego najlepszym dowodem.

Smakowała każdy łyk i czekała, aż ciepło rozejdzie się po zdrętwiałych członkach.

Jej zmęczone ciało, drżące z zimna niczym topola na wietrze, natychmiast zareagowało na ciepło posiłku. Dziewczyna pomyślała o urodzie i sile dębu, wyprostowała się.

Kiedy skończyła zupę i kromkę chleba, poczuła przyływ sił. Nie chciała siedzieć dalej w tej wilgotnej norze. Musiała uciec.